

Zakochałeś się w niewłaściwej osobie?

Twoja aż po grób

Pogrzeb swoje uczucia.



IVY FAIRBANKS

ALBATROS

Tytuł oryginału:
MORBIDLY YOURS

Copyright © Melissa Elaine Loera 2023

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Robert Waliś 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Dominique Jones

Ilustracja na okładce: Polina

Opracowanie graficzne okładki polskiej oraz ilustracji we wnętrzu:

Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Lark

Pięć worków na zwłoki, w dorosłym rozmiarze.

Zamrugłam i prawie upuściłam przecinak, którym otwierałam pudełko.

Co, u diabła?

Rozejrzałam się, licząc na to, że znajdę odpowiedź w chaotycznej stercie otaczających mnie pudeł. Ale nie. Tylko ja i kilka przedmiotów, które uznałam za wystarczająco ważne, by odbyły ze mną podróż przez ocean. To niesamowite, z jak niewielu rzeczy składa się nasze życie – zwłaszcza jeśli trzeba wziąć pod uwagę koszt transportu z Teksasu do Irlandii.

Ponownie zwróciłam uwagę na niewinne pudełko i czarną folię w środku. Właśnie używałam przecinaka jako mikrofonu, porwana przez migoczący głos Dolly Parton i obietnicę nowego początku, gdy widok worków na zwłoki brutalnie wybił mnie z rytmu.

Sprawdziłam adresata na dokumencie przewozowym: *Wierzbowa Przyszań*. Pensjonat położony po sąsiedzku.

Co... u... diabła?

Galway uchodziło za pełne życia i właśnie to przyciągnęło mnie do tego miasta, a teraz znalazłam w salonie paczkę przyborów dla umarłaków. Ponure widmo poczucia winy musiało podążać za mną z Austin. Żałoba dołączyła do mnie jako pasażerka na gapę.

Wyjrzałam zza zasłony w częściowo umeblowanym wynajętym mieszkaniu. Żadnych śladów życia w budynku naprzeciwnko.

Łukowato sklezione okna i kamienna fasada stanowiły doskonały przykład miejscowej architektury. Zaledwie dwa tygodnie temu za pośrednictwem map Google'a zachwyciłam się tą spokojną celtycką okolicą z cudownym widokiem na zatokę i prężnie funkcjonującą sceną artystyczną. Może byłam na tyle spontaniczna, by bez uprzedzenia przenieść się do innego kraju za pracę, ale zarazem wystarczająco przezorna, żeby najpierw sprawdzić statystyki przestępczości, bo nie chciałam wynająć mieszkania w podejrzanej dzielnicy.

Wynajęty dom z zewnątrz był uroczy i pełen historii, ale wystrój nie zachwycał: wytarta kanapa i poplamione biurko, na którym teraz leżał mój wierny iPad Pro z rysikiem. Poobijany kufer zastępował stolik. Podstawowe meble na czas dziewięciomiesięcznego pobytu.

Moją uwagę przyciągnęło zamaszyste pismo mojej kuzynki Cielo na ścianie pudła. Od wszystkich osób z dawnego życia oddzielało mnie ponad siedem tysięcy kilometrów. Po raz pierwszy od dwudziestu dziewięciu lat byłam sama. Z wyboru... ale jednak. Worki na zwłoki z pewnością nie były na mojej liście przedmiotów najbardziej potrzebnych do rozpoczęcia nowego życia w Irlandii.

Może osoba, która je zamówiła, potrzebowała ich do jakiegoś projektu. Ludzie, którzy zamierzają ukryć zwłoki, zazwyczaj unikają pozostawiania śladów, prawda? Galway było mekką twórców, miało uczelnię i armię ulicznych grajków. Z pewnością istniało jakieś wytłumaczenie.

Gregoriański budynek stojący po sąsiedzku był porośnięty bluszczem. Dostojne wierzby ocieniały podwórze. To miejsce nie wyglądało złowrogo. Może właściciel potrzebował worków do przedstawienia teatralnego albo studenckiego filmu. To mogła być okazja, by się z kimś zaprzyjaźnić. Z kimś, kto z pewnością nie jest seryjnym zabójcą. Nie licząc kierownictwa i pracowników działu HR w mojej nowej pracy, nie znałam nikogo w Irlandii.

Próbowałam nawet zagadać do kuriera i teraz podejrzewałam, że właśnie to spowodowało zamieszanie z paczkami. Musiałam poznać sąsiada, zanim moja wyobraźnia wymknie się spod kontroli. Na miłość boską, przecież to miejsce kilka razy wygrało w plebiscycie na najbardziej przyjazne miasto na świecie.

Wsunęłam na nogi ulubione kowbojki Ariat i włożyłam sweter, by ochronić się przed listopadowym chłodem. Czując wzbierającą ciekawość, z pudełkiem pod pachą zbliżyłam się do pensjonatu.

W recepcji nikogo nie było. Tradycyjne przytulne lobby sprawiało ponure wrażenie. Można było się spodziewać niewielkiej firmy dowodzonej przez szydełkującą matronę, która, niestety, raczej nie zostanie moją nową najlepszą przyjaciółką. Na ladzie stał okrągły srebrzysty dzwonek, lśniący jak kropla rtęci. Kiedy stuknęłam w niego dłonią, wydał z siebie satysfakcjonujący dźwięk.

Nada.

– Dzień dobry! – Czułam się jak bohaterka horroru, która oddaliła się od grupy i woła w stronę ciemności, zamiast uciekać.

Wdzięczna losowi, że nie spotkałam mordercy, położyłam pudełko na ladzie. Ale zanim zdążyłam czmychnąć, ktoś odezwał się niskim głosem.

Callum

Usta nieboszczki były rozwarte jak u diwy operowej. Przeciągnąłem igłę przez przegrodę nosową pani Murphy, a następnie przebiłem jej podniebienie. Szew okrążał kość szczęki i wracał do punktu wyjścia, tworząc pętlę. Lekko szarpnąłem nitkę, by zamknąć usta kobiety, a następnie zawiązałem kokardkę i ukryłem ją w nozdrzu. Proszę bardzo. Teraz znacznie lepiej.

Biedactwo. Trzydzieści cztery lata – w moim wieku. Nie miała męża ani dzieci. Formalności pogrzebowe załatwił daleki krewny. Po tym, jak zakrztusiła się pestką oliwki i nie przyszła do pracy, pani Murphy została zwolniona i nikt nawet nie zbadał powodów jej nieobecności. Dwanaście dni później sąsiad zaczął się uskarżać na smród. Nie licząc garstki pracowników, mojej nieobecności również nikt by nie zauważył.

Zadzwijał dzwonek w holu i rozległ się delikatny kobiecy głos:

– Dzień dobry!

Klienci z ulicy należeli do rzadkości, ale się zdarzali. Zegar pokazywał dziesiętnastą. W godzinach pracy Deirdre witała gości i opowiadała im o całym procesie, starając się wybadać, czy będą chętni dopłacić do mahoniowego albo brązowego pakietu. Obsługa klienta nie należała do moich mocnych stron.

Pchnąłem drzwi i zawołałem w stronę wejścia:

– Zaraz p-p... Chwileczkę!

Lęk społeczny i jąkanie były moimi problemami od zawsze. Jako dzieciak panicznie bałem się odzywać podczas sprawdzania listy. Nauczyciele przy każdej okazji wybierali mnie do czytania na głos lub wyrywali do odpowiedzi (nazywali to okrucieństwo „szorstką miłością”), bądź mnie ignorowali. Gorsze były dzieciaki. Mieszkałem w domu pogrzebowym i rzadko się odzywałem, więc w liceum stałem się pariasem. Chociaż terapia logopedyczna pomogła mi mówić swobodniej, i tak się nade mną znęcały.

Mrucząc pod nosem, zdjąłem rękawiczki i osłonę, która chroniła twarz i okulary przez ochlapaniem. Po rozpoczęciu procesu balsamowania nie można tracić czasu, ucieszyłem się więc, że jeszcze nie zabrałem się do pracy. Środki konserwujące działają szybko i unieruchamiają kończyny oraz twarz. Zapisanie klientki na jutrzejszą konsultację u Deirdre zajmie tylko chwilę. Potem wrócę do swoich obowiązków.

Zebrałem się na odwagę, poprawiłem krawat i wyszedłem.

Na tle rubinowego blasku bijącego od witraża stała mniej więcej trzydziestoletnia drobna kobieta o twarzy w kształcie serca. Blond włosy opadały jej na ramiona; miała na sobie sweter i dżinsy. Atrakcyjna. Chociaż nie miało to żadnego znaczenia. Trzymała duże pudełko z firmy kurierskiej.

– Dzień dobry. Właśnie wprowadziłam się po sąsiedzku i przeglądałam całą stertę pudeł. Mam wrażenie, że ta paczka należy do pana. – Mówiła z obcym akcentem, przeciągając słowa. Bładoróżowe kowbojki stuknęły o parkiet. – Kurier dostarczył mi tę paczkę przez pomyłkę.

Nie zauważyłem, że poprzedni lokatorzy się wyprowadzili. Pewnie dlatego, że większość czasu spędzałem w kostnicy. Jako właściciel Wierzbowej Przystani zlecałem swoim pracownikom

wykonywanie wszystkich telefonów w sprawach firmowych. Unikanie obowiązków i rutyna mnie uspokajały.

– *Fåilte* – wykrztusiłem i odchrząknąłem. – Witamy.

– Dziękuję. Wszyscy są tutaj tacy mili. Już rozumiem, dlaczego to miasto ma tak dobrą reputację. Przywykłam do gościnności Południa. Oczywiście mówię o Ameryce.

– Dziękuję. – Odebrałem pudełko, które wcześniej musiało zostać otwarte, choć potem naklejki umieszczono na miejscu.

– Rozpakowywałam paczki i nie zauważyłam, że ta nie należy do mnie. Przepraszam. Ale niczego nie brakuje. Nie grzebałam rozmyślnie w środku. – Słowa wylatywały z jej ust, a ręce pośpiesznie gestykulowały. – Mam na imię Lark, czyli skowronek. „Radosna jak skowronek”. A zanim zapytasz, skąd wzięło się to imię, to owszem, moja mama pachnie paczulą i czyta aury. Ja nie... to znaczy nie czytam aur. Ani nie perfumuję się paczulą.

Aury? Paczula? Zapadła cisza, podczas gdy próbowałem jakoś odpowiedzieć na tę werbalną kanonadę.

– Callum Flannelly. – Tak, tylko na tyle było mnie stać.

Mimo mojej cierpkiej odpowiedzi na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech i uściśnęła mi dłoń. Potem zmarszczyła nos. Formaldehyd i rozkład nie pachną najlepiej, niezależnie od tego, ile kwiatów jest w wazonach w recepcji. Po pracy przy zwłokach zawsze się kąpię, ale o tej porze nie spodziewałem się gościa. Pośmuciałem, gdy cofnęła dłoń.

– Miło cię poznać – powiedziała.

Przesunęła palcem po boazerii. Przytulne fotele tłoczyły się wokół kominka, w którym palił się brykiet torfowy. Na stolikach stały pudełka z chusteczkami. W katalogach i broszurach podkreślano, że stawiamy na więź z klientem, a nie na konsumpcjonizm. Mój dziadek Tadhg uważał, że nie wypada trzymać ich na

widoku podczas czuwania. Tak czy inaczej, udało nam się stworzyć przytulne środowisko.

– Od jak dawna tu pracujesz? – spytała kobieta.

Speszony, pomasowałem dłonią czerwony ślad na czole, który pozostawiła osłona, i poprawiłem okulary, które zaczęły ześlizgiwać się po nosie.

– Trudno powiedzieć. Dorastałem w tym domu i pomagałem, odkąd nauczyłem się chodzić.

– Pewnie pojawia się tu wielu ciekawych ludzi, prawda?

Mój pradziadek niemal sto lat temu kupił gospodę i przekształcił ją w dom pogrzebowy. Od tamtej pory grzebiemy mieszkańców Galway, kimkolwiek byli. Pewien tatuażysta poprosił o usunięcie mu części skóry i wystawienie jej w gablocie w jego zakładzie. Jakiś kinoman kazał się pochować z dokładną repliką miecza świetlnego, przy dźwiękach muzyki Johna Williamsa. Rodzina malarza przekształciła naszą kaplicę w galerię sztuki.

Nieustępliwie towarzyska nowa sąsiadka usiadła przy pianinie i zagrała *Chopsticks* na wysłużonych klawiszach, nawet nie zapytawszy o zgodę. Zaczęła przeglądać śpiewnik z hymnami. Partytury trzepotały pod jej palcami.

– Umiesz je zagrać? – Odsunęła się na bok i poklepała ławkę obok siebie.

„Radosna jak skowronek”. Biorąc pod uwagę uroczą beczelność, która pozwoliła jej wparować do mojego domu i domagać się koncertu, imię Lark do niej pasowało.

– Ależ nie mógłbym...

– Proszę. To nie musi być Mozart. Nie znam się na muzyce, więc każdy utwór bardziej skomplikowany niż *Aaa, kotki dwa* zrobi na mnie wrażenie. – Uśmiechnęła się.

Chociaż wszystko we mnie mówiło, żebym się schował w pracowni, podszedłem do pianina.

Usiadłem i wytarłem spocone dłonie o spodnie. Nie byłem niczego winien tej kobiecie. Nawet nie była klientką. Ale coś w jej hałaśliwym i pełnym energii zachowaniu sprawiało, że chciałem spełnić jej życzenie.

– Czy to są same smutne tradycyjne piosenki o miłości? – spytała.

W zasadzie można było je tak nazwać. Żal, bunt i wiara mają swoje źródło w miłości. W śpiewniku było kilka romantycznych kawałków. Ale nie wszystkie były smutne.

Moje palce przesunęły się nad klawiszami i zagrałem z pamięci przejście oraz refren *Galway Bay*. Znajoma jak mgła. Tak samo pełna tajemniczej magii.

Podziw na twarzy mojej nowej sąsiadki nappełnił mnie dumą. Lark zamknęła oczy, gdy ciepłe dźwięki popłynęły kaskadą z wiekowego instrumentu. Kątem oka widziałem, że otworzyła je dopiero chwilę po tym, jak moje dłonie znieruchomiały. Byłem jak sparaliżowany i skupiałem całą uwagę na tej śmiałej nieznajomej.

– Podoba mi się. – Wygrzebała notes spod sterty partytur. – Co to jest? Jakiś odręcznie zapisany tekst...

Odcchrząknąłem, odebrałem jej notatnik i przykryłem dłońmi wytarte kartki.

– To osobista sprawa.

– Och, przepraszam. Umiesz też śpiewać?

– Nie. – Odpowiedziałem zbyt stanowczo i zbyt pośpiesznie.

Zmarszczyła czoło, kiedy kurczowo zacisnąłem palce na notatniku, ale potem na jej twarzy znów pojawił się swobodny uśmiech. Zwiesiła nogi pod ławkę. Siedzisko było dostosowane do mojego wzrostu, więc jej stopy zadyndały nad drewnianą podłogą. Przypominałem sobie, jak w dzieciństwie musiałem się uczyć pieśni żałobnych, chociaż miałem ochotę patrzeć na żałówki w zatoce.

– A więc... Muszę o to zapytać, chociaż to nie moja sprawa. Do czego są ci potrzebne?

– Partytury?

– Nie, głuptasie!

„Głuptasie”? Obrzucano mnie w życiu wieloma obelgami i wyzwiskami, ale jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie „głuptasem”. „Tępakiem”, owszem. Czasem „straszydłem”. Ale „głuptas” sugerował kapryśne zachowanie, które nie miało nic wspólnego z moją poważną naturą.

– No wiesz... worki na zwłoki. Do czego służą?

– Do przechowywania ciał – odparłem, nie rozumiejąc jej pytania.

Na jej ustach pojawił się niezręczny, sztuczny uśmiech. Wyglądała inaczej niż przed chwilą.

– Rozumiem, jakie jest ich przeznaczenie. Ale do czego ty ich używasz?

W jej pytaniu nie usłyszałem oskarżycielskiego tonu, raczej ostrożność. Niepewność. Zwilżyłem usta językiem.

– Od czasu do czasu zdarza nam się ekshumacja. Robi się wtedy spory bałagan.

Zamrugła.

– Co takiego?

– Dzięki za odwiedziny. Przepraszam za zamieszanie z paczką – powiedziałem, przypominając sobie, że pani Murphy nadal leży na stole i czeka na balsamowanie.

– Strasznie jestem wścibska. – Zachichotała nerwowo. – Trochę się wystraszyłam, kiedy zobaczyłam, co jest w środku. Pomyślałam, że planujesz wymordować wszystkich klientów. Co za bzdura, prawda?

– B-bez obaw, oni wszyscy już są martwi.

Pobladła.

– Powinam już iść. Eee, dobranoc.

Lark zeskoczyła z ławki i nie odrywając ode mnie wzroku, wycofała się do drzwi. Wstałem i cofnąłem się o krok, by nie poczuła, że ograniczam jej przestrzeń. Co ja takiego powiedziałem?

– Też już muszę iść – rzuciłem. – Klienci sami się nie zabal-samują.

Zamarła. Zaczęła rozglądać się po recepcji, jakby widziała ją po raz pierwszy. Potem skupiła wzrok na mnie.

– Chwileczkę. Czy to jest zakład pogrzebowy?

Pokiwałem głową, bojąc się, że znów ją wystraszę. Zrobiła oszołomioną minę i zapadła się w sobie, jakby zobaczyła płyny ustrojowe na tapicerce, a sztuczne trupy wyskoczyły z trumien.

– Aha. O cholera! A więc... właśnie kogoś balsamowałeś, zanim zadzwoniłam?

– A co sobie pomyślałaś?

– Sama nie wiem, może że jesteś jak Norman Bates. Mam wybujałą wyobraźnię. Jak już mówiłam... to absurd.

To nazwisko brzmiało jakby znajomo. Przechyliłem głowę.

– No wiesz. – Lark udała, że dźga mnie niewidzialnym nożem, i zaskrzeczała. – Hitchcock.

Aha, *Psychoza*. Ale dlaczego ona...

– Założyłaś, że jestem hotelarzem o morderczych skłonno-ściach?

Sądząc po jej reakcji, mój zawód niewiele się dla niej różnił od fachu zabójcy.

– Tak! – Szare oczy Lark rozbłyły przepaszająco. – Nie mo-żesz mnie winić, że wyobraziłam sobie ciebie w sukience twojej matki.

Wyglądałbym upiornie, gdybym wcisnął się w kwiecistą kieckę.

– Myślałam, że to może być siedziba grupy artystycznej, która zamówiła worki z myślą o jakimś performansie albo instalacji... albo że chodzi o polityczną demonstrację. Staram się udzielać ludziom kredytu zaufania. Nie wiedziałam, że jesteś... właścicielem zakładu pogrzebowego. – Ściszyła głos, jakby to było wulgarnie określenie. – Nie chcę, żeby nasza znajomość rozpoczęła się od zgrzytu. Pewnie masz mnie za idiotkę i złodziejkę paczek.

No cóż, w pewnym sensie. Posłałem jej uśmiech, który, jak miałem nadzieję, wyrażał współczucie.

– Zastanawia mnie tylko, jak ktoś może nieświadomie zamieszkać obok d-d-domu pogrzebowego. – Myślałem, że się skrzywi, gdy usłyszy, że się jąkam, ale tego nie zrobiła.

– Na swoją obronę muszę powiedzieć, że Wierzbowa Przystań brzmi jak nazwa domu spokojnej starości albo pensjonatu. A napis na szyldzie jest po gaelicku.

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Amerykanie nazywają tak język irlandzki. Tutaj tym samym słowem określano mowę Szkotów. W każdym razie na zewnątrz od dziesięcioleci stała tabliczka, której treść można było przetłumaczyć jako *Zakład pogrzebowy – firma rodzinna założona w 1931 roku*. Niezliczone warstwy świeżej farby ochroniły ją przed bezlitosną pogodą. Tradycja była ważna, a mnie nie zależało na dodaniu opisu po angielsku. Nie planowałem aktualizacji.

– My nazywamy nasz język irlandzkim. Albo Gaeilge.

Posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– Qui-gon? Jak ten mistrz Jedi? – Pomachała przed sobą ręką, jakby trzymała miecz świetlny.

Nie. Zupełnie inaczej, zważywszy, że w Gaeilge na początku znajduje się twarde G. Chciałem powtórzyć, ale ugryzłem się w język.

– Nic nas tak nie drażni jak nazywanie naszego języka gaelickim, zwłaszcza przez jankesów, którzy licytują się, w czyich żyłach płynie więcej irlandzkiej krwi.

Rozweselona Lark bawiła się rąbkiem swetra. Nie umiała trwać w bezruchu.

– Trochę z ciebie maruda, prawda? – rzuciła.

– Zadajesz dużo pytań. – Czekały na mnie zwłoki.

– Myślałam, że wszyscy jesteście bardzo gościnni wobec cudzoziemców. Kraina Tysiąca Powitań, tak?

– Specjalizuję się w pożegnaniach, a nie powitaniach – prychnęłam.

– No cóż, lokalizacja tłumaczy, dlaczego dom, który wynajęłam, był dostępny. Muszę przyznać, że sama nie wybrałabym cię na sąsiada. Mój Boże... to znaczy nie ciebie osobiście, ale twojego zakładu. To źle zabrzmiało. Obraziłam cię już dwa razy, zaraz dam ci spokój. Wybacz.

Kiedy Lark wyszła, przez chwilę stałem oszołomiony, zarówno nią, jak i swoją osobliwie łagodną reakcją. Zamknąłem drzwi, wycofałem się do sterylnej pracowni i włożyłem odzież ochronną, która była dla mnie jak zbroja. Lubilem panujący tu porządek. Spokój.

Przeciąłem szyję pani Murphy, wsunąłem do środka haczyk i odnalazłem tętnicę. Przed nieszcześliwym zakrztuszeniem się pestką kobieta była zdrowa, jej tętnica szyjna miała więc konsystencję makaronu al dente i bez problemu mogłem w niej umieścić krętą rurkę, która prowadziła do maszyny balsamującej. Gdy formalina w przejrzystym pojemniku groźnie zabulgotała, postukałem w różową bańkę. Cholerstwo nie działało. Kolejna komplikacja, której nie potrzebowałem. W końcu urządzenie zamruczało i zbudziło się do życia, zwiększając ciśnienie

w układzie krwionośnym, by zastąpić starą krew konserwującymi chemikaliami.

Przypomniałem sobie niespodziewane spotkanie z blondynką z sąsiedztwa. Granie na pianinie dla Lark było... właściwie przyjemne. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio rozmawiałem z kimś nieznanym na tematy niezwiązane z pracą. A zwłaszcza kiedy dobrze się przy tym bawiłem.

Marudny grabarz mógł gorzej potraktować sąsiada złodzieja.

Lark

Minęło dziesięć minut od planowanej godziny przyjazdu autobusu. Moja wiza zależała od utrzymania tej pracy i nie miałam zamiaru wrócić do Austin z podkulonym ogonem. Wyjęłam telefon z torebki i zaczęłam dźgać palcem ekran, żeby zamówić taksówkę.

Powoli szłam w stronę drogi i spoglądałam w prawo, wypatrując autobusu. Nagle przemknęła obok mnie rowerzystka i ochlapała moją twarz i włosy wodą spod tylnego koła. Parskając pod wpływem szoku i lodowatej wody z rynsztoka, wypuściłam z ręki telefon. Wślizgnął się między kratki i wpadł do studzienki kanalizacyjnej. Nie!

Zajrzałam do ciemnego odpływu, mając nadzieję, że telefon zatrzymał się w zasięgu ręki, ale okazało się, że popłynął kanałem. Fantastycznie. Mój pierwszy dzień w pracy, a wszechświat nie chce współpracować.

Na szczęście zapoznałam się z drogą dojazdu do studia, kiedy planowałam, którym autobusem pojechać. Jesienny wiatr rzucał mi pod nogi uschnięte liście, gdy mocniej otuliłam się płaszczem i ruszyłam dalej pieszo.

Zanim mój poranek się posypał, przechadzałam się przed lustrem jak Jessica Rabbit, żeby dodać sobie otuchy przed pierwszym dniem w nowej pracy. Pokażnych rozmiarów kolczyki w kształcie wiśni uzupełniały mój strój złożony z jaskraworóżowej wąskiej spódnicy, czerwonego golfu, płaszcza i moich ulubionych czerwonych butów na obcasie. To nie było tak szalone, jak mogło się wydawać: założyciel Pixara słynął z noszenia hawajskich koszul. Animatorzy mogą wyglądać w pracy jak postacie z kreskówek. Niektórzy nawet tego od nich oczekują.

Zatrzymałam się gwałtownie na widok potężnych cmentarnych bram po obu stronach ulicy. Starannie przystrzyżona trawa była usiana celtyckimi krzyżami. Zamknęłam oczy, przypominając sobie piłkę do koszykówki wyrzeźbioną w granicie.

Reese Thompson. Mąż. Syn. Brat. Trener.

Gdybym przeszła przez tę zamgloną uświęconą ziemię, mogłabym zaoszczędzić nieco czasu. Gdzieś w oddali zadudniła koparka. Nie. Nie warto. Reese i ja razem skakaliśmy ze spadochronem i pływaliliśmy na desce z żaglem, byliśmy śmiałkami, którzy rozkoszowali się adrenaliną, ale już od dzieciństwa nic mnie tak nie stresowało jak uroczyista cisza cmentarza. Zawsze traciłam głowę na widok grobów, a teraz dodatkowo przypominały mi człowieka, którego tak nagle straciłam. Żadnych skrótów. Poza tym tego ranka miałam takiego pecha, że pewnie potknęłabym się i złamała sobie ząb o nagrobek.

Cofnęłam się, minęłam przystanek autobusowy i pomaszrowałam dalej ulicą. O tej godzinie tylko nieliczne sklepy były otwarte, wózek z różami blokował jednak chodnik przed kwaciarnią i ich jaskrawa czerwień kontrastowała z poranną mgłą. Zatrzymałam się przed oknem wystawowym, żeby przyjrzeć się swojemu przemoczonemu odbiciu. Moje loki przypominały wodorosty, a „wodoodporny” tusz do rzęs spływał po policzkach.

Drzwi kwaciarni się otworzyły.

– Przepraszam... – Barczysty mężczyzna w ostatniej chwili mnie ominął i słowa ugrzęzły mu w gardle. Pełne, zmysłowe usta pozostały otwarte, równoważąc ostre kości policzkowe. Inteligentne zielone oczy patrzyły na mnie badawczo zza okrągłych okularów w cętkowanych oprawkach. – Och, to ty.

– Cześć... – Facecie, którego oskarżyłam o to, że jest seryjnym zabójcą? Facecie, którego obraziłam w jego własnym domu? Ograniczyłam się do: – Cześć, sąsiedzie.

Miał na sobie czarną wełnianą kamizelkę, wykrochmaloną białą koszulę i wąskie spodnie, w których jego nogi wyglądały jak sekwoje. Trzymał w rękach bukiet lilii. Chociaż był rześki listopadowy poranek, nie miał płaszcza. Gdyby studio poprosiło mnie o zaprojektowanie postaci grabarza, miałby garnitur w paski i cienie pod oczami jak Gomez Addams. Elegancki strój tego mężczyzny pasował do stereotypu, w odróżnieniu od jego twarzy i ciała.

– Callum, prawda? – Wyciągnęłam rękę. – Lark.

– Widzę, że najadłeś się cytryn.

– Słucham?

– Cytryn. – Wskazał na moją twarz i się skrzywił. – Jesteś skwaszona. Też musiałem się przyzwyczaić do ich dziwnych powiedzeń.

– To był zwariowany poranek. Autobus nie przyjechał, więc chciałam zadzwonić po taksówkę, ale rowerzystka ochlapała mnie uliczną breją i upuściłam telefon. Prosto do studzienki. Dlatego wyglądałam jak potwór z bagien i pędzę do pracy pieszo, żeby mnie nie zwolnili.

Zmarszczył nos. Nie wiem, czy na wspomnienie ulicznej brei, czy pod wpływem mojego strumienia problemów. Na chwilę spuścił wzrok na moje niepraktyczne (ale śliczne) buty.

– Dzisiaj nie w kowbojkach – zauważył.

– Nie. Wymieniłam je na szpilki, w których kiepsko się chodzi. – Potarłam dłońmi maskę szopa pracza wokół oczu. – Mogłabym zadzwonić po taksówkę z twojego telefonu? Spóźnię się, jeśli będę czekała na autobus.

Milczał odrobinę za długo, a kiedy otworzyłam usta, żeby powiedzieć „Nieważne”, skinął głową, pokazując, żebym z nim poszła.

– Mogę cię podrzucić.

– Podrzucić czy wrzucić pod koła?

Wzruszył ramionami, jakby jeszcze nie zdecydował, a jego twarz pozostała niewzruszona. Miałby powód, żeby mnie przejechać, w końcu wzięłam go za seryjnego zabójcę.

Czy pozostał mi jakiś wybór? Nieszczególnie. Mogłam najwyżej zadzwonić do KinetiColor i powiedzieć im, że spóźnię się na pierwsze zebranie w sprawie nowego filmu. To było ogromnie ważne zebranie, na którym miałam poznać animatorów i projektantów, których pracę będę nadzorować.

Zmrużyłam oczy.

– Na pewno? – rzuciłam. – Wygląda na to, że jesteś zajęty.

Callum nawet się nie obejrzał i po chwili doprowadził mnie do lśniącego staroświeckiego hebanowego karawanu, który stał na rogu ulicy. Do prawdziwego karawanu. Po raz drugi tego ranka stanęłam jak wryta.

– Nie wiem, czego się spodziewałam – mruknęłam pod nosem.

– Będzie nam towarzyszyła świętej pamięci pani Higgins, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Ha, ha. Prawie mnie nabrałeś. – Lekceważąco machnęłam ręką. Oczywiście, że w karawanie nie było zwłok, skoro zaproponował mi podwózkę.

– Wkręcam cię. Jest pusty.

Po chwili się uśmiechnął. Ostrożnie, jakby właśnie włożył modne ubranie, w którym nie czuł się w pełni swobodnie. Ten uśmiech nie wyglądał naturalnie, ale był szczery. Miło wiedzieć, że facet jednak ma poczucie humoru.

Po chwili przez okna przesłonięte dziwnymi firankami zobaczyłam pasażera.

– Z tyłu jest trumna!

– Poobijałaby się w furgonetce. Ale nikogo w niej nie ma. Na razie.

– Gówno prawda! – wypaliłam, sama się zaskakując. Niechciane wspomnienia wyprowadziły mnie z równowagi.

– Chcesz otworzyć i sprawdzić? – Uniósł gęstą brew, zachęcając mnie, żebym sprawdziła.

– Nie, dzięki! Nie mogę zajmować ci czasu, ale doceniam gest. Sprawdzę, czy w kwiaciarni mają telefon.

– Myślałam, że się śpieszysz.

– Nie ma sprawy. Nie przejmuj się mną. – Pomknęłam w stronę kwiaciarni, podczas gdy on otworzył karawan i ułożył lilie z tyłu. – Miło było cię spotkać!

Zatrzymałam się. Nic złego mi się nie stanie, jeśli przejadę się kawałek karawanem. Poza tym nie chciałam urazić Calluma, skoro zaproponował, że mnie podrzuci. Bez telefonu z nawigacją nawet nie byłam pewna, dokąd mam iść. Facet zapewniał mi najlepsze wyjście z sytuacji, nie miałam więc prawa grymasić.

Wcisnął swoje metr osiemdziesiąt kilka centymetrów za kierownicę i zerkając w lusterko wsteczne, poprawił skomplikowany węzeł krawata.

– Jedziesz?

Prychnęłam z niedowierzaniem. Miałam nadzieję, że nikt z nowych współpracowników nie zobaczy mojego przybycia.

– Ale to dziwne.

– Po prostu wsiadaj – powiedział beznamiętnie.

Wskakuj do bryki dla sztywniaków, jeśli nie chcesz się spóźnić do pracy pierwszego – i zapewne najważniejszego – dnia, nakazałam sobie. Stęknęłam i zanim zdążyłam zmienić zdanie, szybko usiadłam na miejscu pasażera. Boże, co powie Cielo, kiedy zdobędę nowy telefon i jej o tym opowiem?

– Dokąd?

– Do studia KinetiColor.

Nie znał tego miejsca, ale znalazł je na mapie Google'a.

Minęliśmy kilka przecznic, ale moje serce wciąż szalało i męczyła mnie klaustrofobia. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, i wciągnęłam do płuc opary chemicznego odświeżacza powietrza. A może to był formaldehyd? Mój stary ukochany volkswagen loretta pachniał piña coladą. Poczułam ból w piersi, gdy przypomniałam sobie, jak Reese pokazał mi naklejkę na zderzak z napisem *Zalegalizować zabacanie o krawężnik*. Była lekko krzywa, jak jego uśmiech. Mój mąż zawsze żartował sobie z tego, że jestem tak przywiązana do tego grata. Ale tęsknota za samochodem, który wiernie mi służył w korkach Austin, była znacznie mniej bolesna niż tęsknota za Reese'em. Nie chciałam, żeby tusz do rzęs znów spłynął mi po twarzy, więc postanowiłam nie wspominać dłużej mojego kampera loretty.

Okazało się, że w Irlandii prawo jazdy to kosztowny i czasochłonny przywilej. Jako świeżo upieczona imigrantka musiałam czekać kilka miesięcy na możliwość podejścia do egzaminu. Szef, pan Sullivan, zapewnił mnie, że w Galway wystarczy mi komunikacja miejska, choć nie wiem, czy kiedykolwiek jeździł autobusem.

– A więc zaczynasz nową pracę? – spytał Callum, przywracając mnie do rzeczywistości. Postanowiłam, że tego dnia nie będę żyła przeszłością.

– Tak. Jestem kierowniczką artystyczną od animacji.

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Tworzysz kreskówki?

– Tak. Ściągnęli mnie do swojego pierwszego długometrażowego filmu.

– Pracowałeś nad czymś, co mogłem widzieć?

– Najważniejszy był film dla jednej z platform streamingowych, który opowiadał o odrzuconym przez rówieśników czwartoklasiście. *Sznurówka*. – Wymieniłam jeszcze kilka małych projektów. Bredziłam bez ładu i składu, jakby to mogło odwrócić moją uwagę od tego, że siedzę w samochodzie, którym przewożono niezliczone zwłoki. Który był świadkiem tyłu tragedii. Milczący kierowca skupiał się na manewrowaniu w wąskich uliczkach. – Za pół godziny mam przedstawić swoje pomysły podczas zebrania z zespołem starszych projektantów. Nigdy nie widziałam ich na oczy.

Callum się skrzywił. Wykonując oszczędne, niemal mechaniczne ruchy, bez trudu pokonał zakręt.

– Denerwujesz się?

Zachichotałam. Nic tak nie uspokaja jak niespodziewana przejażdżka karawanem.

– Trochę. Będziemy pracować nad bardzo irlandzkim, pięknym scenariuszem. Wybranie właściwego tonu w warstwie wizualnej będzie kluczowe.

Pokiwał głową ze współczuciem.

Woda wciąż skapywała z moich włosów na kolana.

– Jeszcze nigdy czymś takim nie jechałam.

– A ja nigdy nie miałem takiej rozmownej pasażerki.

– Przestań, próbuję sobie wyobrazić, że jadę limuzyną na elegancki ślub.

– Wiesz, jaka jest różnica między ślubem a pogrzebem w Irlandii? – spytał.

Czekałam na puentę.

– Jedna pijana osoba mniej na przyjęciu. – Kącik jego ust uniósł się, ale zaraz opadł. – Przepraszam. To był fatalny żart.

Owszem, ale i tak się roześmiałam. Opuściłam szybę i zerknęłam na Calluma. Jego niechętny uśmiech był jak błyskawica podczas burzy. Pojawiał się tylko na chwilę, robił jednak olśniewające wrażenie. Czy przebywając z ludźmi w żałobie, tak przywykł do tłumienia radości, że podświadomie dusił w sobie pozytywne emocje?

Nawigacja zasygnalizowała, że od celu dzieli nas jedna przeczynica. Rozpoznałam budynek studia KinetiColor, który znałam z ich strony internetowej. Przed nim stało kilkoro moich nowych kolegów.

Świetnie. Właśnie takie pierwsze wrażenie chciałam zrobić.

Zauważyłam Wendy z działu HR, która prowadziła ze mną rozmowy o pracę przez Skype'a. Jej kształtne brwi uniosły się gwałtownie, gdy mnie rozpoznała. Podeszła do drzwi karawanu po mojej stronie.

Jakiś brodacze zawołał do kogoś w grupie:

– Dobrze się składa! Grabarz przyjechał po twoją martwą karierę!

Animator, którego wziął na cel, nie uśmiechnął się, tylko pośpiesznie wszedł do budynku, nawet nie oglądając się na mężczyznę, który zaśmiewał się z własnego żartu.

– Lark? – odezwała się Wendy z uśmiechem. Przyjrzała mi się z bliska i wzdygnęła się, widząc moje mokre włosy i rozmazany makijaż.

Również się uśmiechnęłam, siląc się na luz.

– Cześć, Wendy!

Grupka młodych profesjonalistów patrzyła na karawan z rozdziawionymi ustami. Zerknęłam na Calluma, spodziewając się zobaczyć w jego oczach konspiracyjny błysk, ale go nie dostrzegłam. Ciekawość Wendy sprawiła, że znów zapanował między nami chłód.

– Kim jest twój facet?

– Co takiego? Ależ nie. To jest Callum. Jest... moim sąsiadem. Tylko sąsiadem. Nie jest... – Przełknęłam ślinę i klasnęłam w dłonie. – No nic, zaraz przyjdę na górę. To ważny dzień, jestem taka podniecona.

Ktoś wyjrzał z budynku i pomachał do Wendy. Ta obiecała, że potem oprowadzi mnie po studiu i wszystkim przedstawi, po czym się oddaliła.

– Wszyscy będą mówić o twoim wielkim wejściu – odezwał się Callum, odwracając wzrok.

Moje niezgrabne zapewnienia, że jest tylko sąsiadem, sugerowały, że się go wstydzę. Ale wcale nie byłam zażenowana jego towarzystwem. Czulałam się niezręcznie z powodu karawanu i pustej trumny, która chciwie czekała, by stać się miejscem czyjegoś wiecznego spoczynku. To wszystko wzbudzało we mnie bolesne wspomnienia. Byłam jednak wdzięczna Callumowi za okazaną serdeczność.

– To najbardziej szalona podwózka, jakiej doświadczyłam. Dziękuję.

– Polecam się na przyszłość.

Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, nachyliłam się i cmoknęłam go w policzek. Subtelny zapach jego płynu po goleniu skojarzył mi się z deszczem.

Jego twarz i uszy zapłonęły kolorem fuksji. Kurczowo zacisnęłam palce na kierownicy, jakby jechał po chwiejącym się wąskim

moście bez balustrady. Otarłam kciukiem różowy ślad szminki, który pozostawiłam, ale to jeszcze pogorszyło sytuację. Callum z trudem przełknął ślinę. Cholera. Czy potraktuje ten przyjacielski całus jako oznakę zainteresowania? Nie miałam takiego zamiaru. Często całowałam w policzek przyjaciół, ale z tym facetem jeszcze nie łączyła mnie taka zażyłość. Udało mi się doprowadzić do tego, że sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna.

– Następnym razem możesz zaoszczędzić kilka minut, przechodząc przez cmentarz – powiedział.

Otworzyłam drzwi i chwiejnie stanęłam na krawężniku.

– Dzięki za radę, ale wolę dłuższą trasę, która nie jest nawiedzona.

Zanim weszłam do budynku, obejrzałam się i zobaczyłam, że Callum dotyka dłonią zaczerwienionego policzka. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, gwałtownie cofnął rękę. No dobrze. Był całkiem uroczy. Zanim ruszył spod krawężnika, bezgłośnie powiedział: „Powodzenia”. Wiedziałam, że te życzenia mi się przydadzą.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).